Tom X.

Nr. 17.

11. czerwca

1864.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Królowa Katarzyna.

We wsi Medyce stoi dwór w środku ogrodu między wodami naokoło. Starzy ludzie opowiadają, że dawno, dawno był tu dwór królów polskich, którzy tędy jeżdżali sobie z Krakowa do Lwowa, aby robić porządki, fundować nowe miasta i wsie i rozdawać ludowi zapomogi przeróżne.

Otóż w tym dworze są dziś różne obrazy po ścianach, a na jednym obrazie stoi wymalowana pani, co trzyma na podołku małego synka, a koło niej stoi pan jakiś z złotym łańcuchem na szyi i w bogatym kożuchu. Pani sama trzyma koronkę w ręku i widać odmawia ją pokornie przed Panem Jezusem, który wisi przed nią na złotym krzyżyku. A znowu koło drzwi izby królewskiej stoi warta żołnierska. A na dole tego obrazu stoi napis: „Katarzyna Jagiellonka królowa w więzieniu.“

Otóż jednego dnia zaprowadził profesor szkolarzy Medyckich do ogrodu i do dworu i pokazywał im różności, aż stanęli szkolarze przed jednym obrazem i zapytali:

— Prosimy też pana profesora, co to za pani na tym obrazku? czy to jaka święta, czy sama Najświętsza Panna z Panem Jezusem a ten pan to może św. Józef opiekun?

Pan profesor zdjął obraz ze ściany, pokazał go z bliska szkolarzom i kazał na głos przeczytać podpis, a potem zapytał:

— No! któżto jest ta pani i ten pan?

A szkolarze gadali:

— A widzisz, że to nie święta i nie sama Najświętsza Panna z maleńkim Panem Jezusem, jeno jakaś królowa w areszcie, a tu pilnują wojaki, aby nie uciekła.

Pan profesor zapytał jednego szkolarza Franusia Szmigielskiego, co to uczył się dobrze wszystkiego:

— No! ty Franuś! powiedzno, wiele to synów miał Kazimierz Jagielończyk, król polski w Krakowie?

Franuś podumał trochę, aby się nie pomylić w gadaniu i powiada:

— Ten pobożny król miał 4 synów, co byli jeden po drugim królami, a znowu jeden Kazio został świętym patronem Polaków, a znowu jeden był biskupem i po Ojcu świętym pono tak wielkim biskupem, że go nazywali ludzie kardynałem.

Profesor pytał dalej:

— A który z tych 4 braci, co byli królami, był najlepszym królem w Krakowie?

Franuś odrazu zgadł i mówił:

— Najlepszym królem z tych 4 braci był Zygmunt I co go dla rozumu wielkiego nazwali polacy starym i był jakie 50 lat królem polskim.

Profesor pogłaskał Franusia za dobre gadanie i za tak mądrą zwagę i powiadał sam:

— Otóż widzicie dzieci, ten król Zygmunt I miał jednego syna, co był królem polskim, a potem dał mu Bóg aż 5 córek: Zosię, Annusię, Jadwisię, Izabelcię i tę Kasię, co tu wymalowana stoi. Te wszystkie siostry były nieszczęśliwe bo miały matkę niedobrą, która pochodziła z obcego rodu i z dalekiego kraju aż ztamtąd, dokąd szli nasi wojacy nieraz do miasta Medyolanu, które wy Majlandem z niemiecka nazywacie. Otóż i ta Kasia, choć to królewna i bogata i pobożna, była biedną

przez matkę niedobrą. Ale gdzie jeszcze ojciec jest dbałym o dzieci, to jakoś to jeszcze ujdzie dla dzieci — a jak dzieci są między sobą w zgodzie i miłości, to sobie zawsze poradzą przy pomocy Bożej, choćby i matka była nie zewszystkiem dobrą. Otóż i dla tych sióstr było to dobrze, że się bardzo lubiły i byłyby jedna za drugą i w ogień poszła, że były wszystkie pobożne, toż w paciorku, modlitwie i w kościele szukały pociechy u Boga. A miały one i ojca dobrego i brata miłosiernego, który pamiętał o nich, jak po ojcu został królem.

Kiedy zła matka nabroi dużo i nakrzywdzi ludzi i dzieci, to jej odbierają opiekuństwo nad dziećmi. Tak się stało i z matką tych sióstr. Gdy widziała, że się do niej zabrali ludzie, to wtedy uciekła z Polski do swego kraju i zabrała jakie 12 wozów samego złota i tam umarła za granicami i lasami. Tak to Bóg karze złych ludzi, że im daje śmierć bodaj na prostej drodze lub w lesie i na czystem polu, aby ich ciała nikt łzami nie polał z żalu, aby grudki ziemi świętej nie rzucili ci na ich grzeszną trumnę, których oni za życia pokrzywdzili lub nazdziwiali się do syta.

A naraz zagadał profesor do szkolarzy:

— A kto z was zgadnie, jak się zwała ta niedobra królowa i zła matka?

A szkolarze krzyknęli razem:

— Ta to Bona, Bona, co się tyle nawykręcała z każdym, kto jeno co od niej potrzebował.

A Franuś zapytał!

— A czemu ta Kasia pobożna w areszcie?

Na to prawił tak dalej pan profesor:

— Widzicie dzieci, że na dobrych dużo złego nieraz leci — kogo Bóg kocha, to mu krzyżyki daje, a pobożnych ludzi nie raz zły człowiek niewinnie pokrzywdzi. Tak samo porobiło się i z tą Kasią. Jak ją matka odleciała na złamanie karku, to ona żyła sobie w panieństwie i pobożności w Krakowie przy bracie i razem z drugą siostrą Annusią wyszywała ornaty i obrusy do kościołów na chwałę Bożą, a co jeno miała, to miłosierną ręką rozdawała ubogim, bo piszą o niej tak xiążki, że była spokojną, cichą, pracowitą, pobożną, przykładną i go-

tową każdemu podać rękę w biedzie. Ale o pobożnym nigdy Bóg niezapomina, a jak kto wszystko złe na świecie zwycięży i przeżyje, wtedy mu Bóg nagrodzi, kto się zawsze i wszędzie dobrem życiem odznacza, temu na końcu Bóg stokrotnie odpłaca. Tak też zrobił Bóg sprawiedliwy na końcu i tej Katarzynie. Trafiło się jej za mąż, jeno jej zalotnik był lutrem, toż ludzie gadali do niej:

— Nie chodź za lutra bo jakie będzie twoje życie.

Ale Katarzyna mówiła swoje:

— I lutry są dziećmi boskiemi. Nie trza się z nich naśmiewać, ani im źle robić, jeno ich nauczać słowem i przykładem i miłosierdziem. Ja też pójdę za lutra i nawrócę go do naszej wiary moją miłością i pobożnością.

I wydała się ta Katarzyna za lutra Szweda, xięcia Jana, kóry miał brata królem w kraju het za górami, lasami i morzami, co się zowie Szwecyą, a gdzie zima dłuższa jak u nas w Polsce, a wiosny i jesieni to tak jak nie ma.

Co to było płaczu w Krakowie, gdy ta Kasia miała odjeżdżać! jak ona się żegnała z swoją siostrą Annusią, a potem z bratem królem, który ją odwiózł paradnie z Krakowa do Sandomierza, potem do Warszawy a ztamtąd do Gdańska aż na brzegi morza polskiego, gdzie wsiadła na malowany okręt, ni to dwór na wielkim promie i tak pojechała z Bogiem od Polaków, od swojaków między szwargotników nieznajomych i była tam jak sierota polska między niekrajanami A to się stało roku pańskiego 1562 a zatem lat temu jak uciął 300.

Ale nie zawsze tam i utrafi biedna dziewczyna, gdy jej los pana za męża przyczynia, bo to prawdę powiadają, że ludzie nie zawsze przy złocie, jeno przy samej cnocie mogą żyć szczęśliwie, a szczęścia nie znachodzi, kto od Boga odchodzi, ani się szczęśliwym nie uczyni, kto się po światowemu ożeni, ani tam nie ma dobra, gdzie w domu jedno do lasa, a dugie do sasa.

Otóż i Katarzyna była biedną za granicą, mąż jak mąż, ale jej szwagier i brat rodzony męża, był łakomym, zazdrośnym, podejrzliwym, co to nikomu nie wierzył i każdego trzymał za złego — raz ktoś mu szepnął jak djabeł grzesznej duszy aby ją zwieść, że Katarzyna z mężem zamyślają się buntować i szwagra

skuć w kajdanki i wygnać albo i otruć, aby potem byli królami sami. Ledwo kto głupstwo powie, ta zły uwierzy i prawdą zowie — otóż i szwagier uwierzył i kazał Katarzynę i męża jej niewinnie zaprowadzić do więzienia murowanego. Tam postawili wartę i otóż widzicie na tym obrazku jest Katarzyna wymalowana w więzieniu a to dziecko na podołku, to jej synek, a ten pan koło niej, to jej mąż.

A szkolarze krzyknęli razem:

— Aha! to teraz wiemy, co to na obrazie wymalowane stoi.

A Franuś zapytał:

— A czemu to Polacy nie poszli wypuścić ją z więzienia, kiedy ona była niewinną, toć to grzech biedzić kogo kiedy mu nic nie winien, albo trapić kogo aresztami, kiedy nic złego nie robi?

Pan profesor na to rzecze:

— Toć się bał Polaków ten król szwed, kieby ognia, bo wiedział, że oni nie robili nikomu nic złego, ale chcieli dobra cudzego i chwały bożej, otóż zawołał Katarzynę do siebie i mówił jej pięknie:

— Odjedź sobie malowanym okrętem do twego brata do Krakowa, zabierz sobie całe wiano, a męża zostaw w areszcie. Ale Katarzyna pokazała mu pierścionek ślubny i powiedziała:

— Ani ty królu, ani brat mój, ani te więzienie, ani to polskie morze, jeno śmierć jedna potrafi mię rozłączyć od mego męża! — i zabrała się i poszła do męża do aresztu, i tam razem z mężem pod wartą straszną przebiedowała 6 lat, dopóki szwagier król nie umarł. W tym areszcie dał jej Bóg pociechę wielką, bo dwoje dziatek, które szczebiotaniem swojem bawiły ojca i matkę — ale córeczka Kasia umarła, a synek Zygmuś się wychował jak widzicie na obrazku, co sobie siedzi na podołku u matki i trzyma ją rączką za szyję i miał już wtedy pięć roczków.

A znowu zapytał drugi szkolarz:

— A cóż się stało z nią, jak umarł szwagier zły?

Pan profesor na to tak:

— Ona została królową Szwedzką, a mąż jej królem; ale kiedy szwagier miał konać to ona namówiła męża, aby poszli

oboje do łoża śmiertelnego króla i tam mu darowali urazy wszystkie.

Byli też oboje na pogrzebie, a gdy mąż został królem, to chciał wszystkich plotkarzy dawnych, i tych co na niego przed bratem królem szczuli ukarać i odpędzić, i byłby to zrobił, jeno ta pobożna Katarzyna uklękła przed mężem, złożyła rączki i mówiła z łzami:

— Mężu mój! nie rób tego, bo Pan Jezus nie kazał ścigać nieprzyjaciół, jeno im darować! kto na ciebie rzucał błotem i kamieniami ty teraz rzucaj złotem i chlebem na niego. I tak się stało! król darował, a wszyscy przychodzili do Katarzyny dziękować za jej dobre słowo i za miłosierne serce. A gdy wychodzili ci źli plotkarze z aresztu, gdzie ich mąż Katarzyny kazał pozamykać, i gdy przyszli do niej dziękować to ona im dawała swoje ręce całować i mówiła:

— Jak do domu wrócicie, to gadajcie to wszyztkim złym i dobrym, jak ja się z wami obchodzę, choć wy byli dla mnie niemiłosierni i źli — od dziś bądźcie i wy tak miłosierni dla tych, którzy wam kiedy co złego zrobili.

Taką miała przewagę nad królem dla swej pobożności, że jej pozwolił mieć polskich xięży w dworze, że mogła sobie czytać, pisać i mówić po swojemu, jak w polskim kraju, że synka swego wyuczyła do słowa po polsku i pacierz mówić z całego katechizmu polskiego, a sama choć była między Szwedami, to sobie gadała po polsku do synka do xięży i do sług, których miała z polskiego kraju i zawsze przypominała wszystkim:

— Co masz od dziadka i ojca, to zawsze trzymaj, bo wszystko może być dobre, ale co twoje od dziada i pradziada, to zawsze najlepsze — a jeźliś się urodził na polskiej ziemi i między Polakami z ojców polskich to pozostań takim, choćbyś poszedł i na koniec świata. Kto się wypiera ojca i matki, ten nie wart ni dziadowskiej szmatki.

Była ona przez 15 lat królową u Szwedów i była strasznie miłosierną dla lüdu, a zawszą było jej żal, że ją Bóg rozłączył z Polakami i że musiała być tak daleko od nich.

A jeden szkolarz zapytał:

— A gdzie ona umarła?

— Umarła między Szwedami, mówił pan profesor, roku pańskiego 1583, przeżyła 22 lat z mężem w zgodzie, pracy, cichości, pobożności, a synek jej został potem królem polskim; otóż wypłacił Bóg tej pobożnej matce za wszystkie utrapienia, że jej syna wyniósł aż na króla Polaków.

A w końcu dodał pan profesor:

— Nawet sam Ojciec święty pisywał do niej listy i prosił, aby jakim sposobem próbowała nawrócić lutrów Szwedów na katolików takich, jak są wszyscy Polacy, aby Szwedzi przystali na takie nabożeństwo jak u nas, ale na to Szwedzi przystać nie chcieli.

A szkolarze spytali potem:

— A gdzie ona pochowana?

— Ona pochowana, dodał profesor, u Szwedów na cmentarzu katolickim — koło jej grobu stoi krzyż z napisem takim:

„Pobożnej Katarzynie, która była matką ludu pokój w Niebie.“

— Otóż wiecie teraz dziatki, kończył profesor, co to za dobra pani była ta polska królewna. I wy się starajcie być takiemi za młodu i poźniej, a czasem zmówcie też paciorek i za duszę tej dobrej matki ludu, a znowu opowiadajcie drugim to wszystko dobre, co ja wam tu opowiedział.

I rozeszli się szkolarze do domu, a ja na ich żądanie piszę to do Dzwonka, aby też każdy o tem wiedział, kto Dzwonek czyta.

Xiądz Wojciech z Medyki.

Święty Piotr.

Nizka chatka, nizka,
Nędza nas uciska,
Szczupła nasza miedza,
Głodem Bóg nawiedza,
Pszenica nie siana,
Żyto po kolana.

Sianożątka licha
Bez deszczu usycha,
Kąkol rodzi z żyta,
Wilk owieczki chwyta,
Grad wybija pola:
Czarnaż nasza dola!

Mój Boże! mój Boże!
Człek czyni co może;
Kto radę poradzi,
My i słuchać radzi:
I pieśni śpiewali,
I na mszę dawali;
Na każdej pół mili
Krzyżyki stawili;
Z chorągwią czerwoną
I z wodą święconą,
Xiądz w komżę ubrany
Błogosławił łany,
Insza boska wola:
Czarna nasza dola!

Chyba jedna rada:
Posłuchać wypada,
Co przyśnił wójt stary
W noc świętej Barbary.
Mówił mu Piotr święty
Jasnością przejęty:

„Ej dosyć wam dosyć
„Taką nędzę znosić!
„Pozbyć się jej trzeba:
„Zginiecie bez chleba!
„Ja mam niebios klucze,
„Sekretu nauczę,
„Że ustąpi z pola
„Czarna wasza dola.

„Wszyscy gospodarze!
„Kto ma woły w parze,
„Kto ma konie w bronie,
„Kto ma zdrowe dłonie,
„Wszyscy idźcie tłoką,
„Zaorzcie głęboko
„Tę drogę od brzozki,
„Do karczmiska z wioski.
„Zabronujcie końmi,
„Zagrzebajcie dłońmi,
„Niech ślad i nazwanie
„Drogi nie zostanie:
„A zarodzi rola,
„Pojaśnieje dola!“

Wł. Syrokomla.

Gadka o wójcie z Domostawy i jego synie.

Opowiedział Skoczek z Gorlic.

I.

Przed laty żył we wsi Domostawie wójt imieniem Jacek Szwed. Miał on żonę i jednego syna, a było mu Błach. Jacek Szwed był ci to najbogatszy gazda na całą wieś; czeladź, obejście, pasieka, konie i bydło, psy na łańcuchach i wszelakie narzędzie było u niego jakby w jakim dworze. Na nim sukmana z kieszeniami na przodzie, obszyta przeróżnemi niebieskiemi sznureczkami, koszula bieleńka z wykładaną obszewką, zapięta bursztynową szpinką na szyi, a kaleta z cienieńkiej skóry, gdyby na jakim leśniczym.

Żona jego rozpierała się jak jaka pani, bo żadne zmówiny ani wesele się bez niej nie obeszło, a w kumach to była więcej jak 100 razy, to ją też prawie cała wieś po rękach całowała. Co poniedziałek musiała być w Ulanowie na jarmarku i kupować: to chustkę jaką z frenzlami, to na fartuch lub na podwijkę, a zdaleka na rynku ją poznałeś po koralach i bursztynach, bo ich tyle na szyi dźwigała, że jej mało karku nie ogryzły, a to wszystko nosiły flisy z Gdańska na podarunek.

Krótko powiedziawszy, było u wójta dość wszystkiego i w komorze i oborze — jednego tam tylko brakowało, to jest: bojaźni Boga i miłości bliźniego. Majątek ten nie był ani po jego rodzicach ani też jego rękami zapracowany, jeno był zbieraniną z krzywd ludzkich, bo ile to wdów i sierót puścił wójt z torbą, żeby wszystko do siebie zagarnąć? A jak przyszła branka, to Szwed gadywał:

— To moje żniwo!

— Oj bodajeś zmarniał za nasze krzywdy! — klęła wieś cała.

Wójtowstwo prawie dzień w dzień siedzieli w karczmie, sądzili, jedli i pili prawie ludzką krew i każdemu się dali we znaki, to też ani żywej duszy nie było, żeby im dobrze życzyła, chyba podwójci Koczwara — ale na oko musiał każdy wójtowi podlegać, bo jakże kiedy bez niego ani u sędziego, ani we dworze nic nie wskórałeś, nawet samemu księdzu potrafił on swemi delikatnemi słowy wszystko w opak przedstawić, i każdego wszędzie oszkalował aby siebie wywyższyć.

Chciałeś pójść na skargę do sędziego, to trza ci było wziąść pełną torbę chleba i szperki, żebyś w areszcie z głodu nie umarł, bo cię sędzia zaraz wsadził, żeś się poważył na Szweda skarżyć — a nie jeden próbował i w cyrkule, ale nic nie poradził, bo Szwed wszystkiemu zapobiegł i potem się jeszcze gorzej mścił. Nie było tu na świecie sprawiedliwości na Szweda, ale z wysokiego nieba przyszła sprawiedliwość za ludzkie krzywdy.

Jednego razu miał Szwed odstawić rekrutów do Ulanowa. Od świta już latał po wsi jak błędny, zganiał ludzi, podwody,

hałasił, przeklinał, bił i poniewierał kogo napotkał, a ludzie płakali, prosili i przeklinali, aż się lasy trzęsły. Zajechał że do Ulanowa, napadł tam oficerów i doktora, i oddał jednego młodego chłopca do wojska od żony i czworga drobnych dzieci. Potem z tej uciechy że na swojem postawił, zaszli oba z Koczwarą na ratusz i siedzieli tam przy araku aż do późnej nocy.

Furman Wojtek, co był z nimi za szarwark, stał pod ratuszem i czekał. Tu się już i noc zrobiła, a lało jak z konwi, konie nie miały już ani zdziebełka, a zmokły jak myszy, a Wojtek aż zębami dzwonił od zimna; tak nie wiele myśląc odważył się wejść do szynku i zawołał:

— Panie wójcie! bójcie się Boga, jedźmy do domu, bo kiedyż się zawleczemy przez te bory? a Tanew woda co mówi? wiatr od Lublina, woda przybiera, to potoniemy jak psy, a najgorsze szkapy!

Na to Szwed:

— Co się ty kpielu turbujesz! nieraz była większa woda a ja przejechał jak nic, to i dziś — to moja w tem głowa — ot golnij pół kwaterek araku, to ci się ulży.

— Ej, przed wieczorem wypiłem jeden, — odpowiedział Wojtek — to mię tak ckliwi, bom dziś naczczo. Wygnaliście mię raniuteńko nagle jak do ognia, a teraz to tu siedzicie nie wiem dokąd po próżnicy.

Zaś Szwed:

— Stul mordę! bo cię tu jeszcze dziś każę okuć i oddam cię jak Walka — rozumiesz? czy wiesz co ja jest! wiesz czy nie?

— Tać, wiem, ale widzicie chrzestny, bo to nocna sprawa a tu leje, aż strach Boski.

— Nie pytaj nic! — zawołał wójt — pójdź wypij jednego, to będziesz śmielszy na wodzie.

Wojtek rad nie rad golnął aż mu się odbiło, splunął i wyszedł na dwór — stanął przy oknie i patrzał się do szynku, a Szwed poprawiwszy na sobie pasa, zaspiewał:

Niema ci to niema jak ja chłopek żwawy,
A każdy to pozna, żem wójt z Domostawy —

Czy to w polu czy to w borze wszyscy mię szanują,
A moją kobietę, po rękach całują. — o hy!

Zaś biedny Wojtek, stojąc przy furze na deszczu westchnął i mruknął:

— O mój Boże święty! spiewaj pijaku spiewaj, a ja tu moknę z bydlętami jak sobaka.

A Szwed hula sobie w karczmie dalej i woła:

— Żydzie, parchu! daj jeszcze po jednym garncu piwa dla ochłody — chodź niech ci zapłacę — a siłam ci winien?

Żydzisko łypnął siwemi oczyma, pogłaskał się po rudej bródce, ta mówi:

— Po 16 kieliszków to 32 — furman 2 to 34; a i piwo to razem 6 cwancygierów.

Szwed potoczył się do szynkfasu, wysypał z kalety z pół kwarty cwancygierów i zapłacił, a resztę schował — wypili jeszcze po tym jednym, ale co piwa, to już nie mogli zwyciężyć.

Był już może północek jak ich Wojtek z wielką prożbą wyprowadził i na wóz powsadzał, przeżegnał i ruszył.

Zaraz za miastem przyjechali do tej nieszczęsnej wody. Jak Wojtek raptem z góry podciął, jak konie nie pójdą w cwał w głębię, Szwed skoczył z woza bo myślał że jeszcze na piasku, jak nie pójdzie do dna, tak do dziś dnia przepadł. Ci dwóch jakoś się wygramolili, stanęli na brzegu i wołali:

— Boże przemień, gwałtu, kto słyszy ratuj, Jacek, Jacek, wójcie, kumie, ratujcie się! do brzegu do brzegu!

Ale tylko szum wody i koguty w mieście odpowiedziały. Jacek przepadł na wieki!

Przestraszony Walek załamał dłonie i zawołał:

— Oho! przepadł nieborak! ale kaleta, kaleta! było bo to tam z pół garnca bielasów — oj szkoda! żebyć choć to było zostało, tobym był zaniósł Walkowej, bo któż teraz na te sieroty zarobi? oddałeś go, oddał! aleś i sam poszedł! napiłeś się nie raz cudzej krzywdy, aleś się dopiereńko teraz napił. Boże nie pamiętaj! wieczny odpoczynek! od nagłej śmierci a jeszcze od to-

nącej, zachowaj nas Panie! szwagrze Koczwara! jedźmy, siadajcie, bo szkapy mokną.

— Ej ty oberwusie — huknął Kuczwara — tobie jeno kaleta i szkapy w głowie a Jacek marnością zginął!

Na to Wojtek,

— Moglišta zdrajce za dnia jechać — porządni ludzie po nocach na obcej parafii nie pijają — czym was nie wołał pijaki?

Rozsierdził się okrutnie Koczwara i zawołał:

— Co ty sobie myślisz, będziesz mię tu znieważał, czy nie wiesz że ja przysiężny?

No już to i w Wojtku płynęła krew nie woda — toć odhuknął napastnikowi:

— Przysięgam Bogu kochaneńku, jeno się tu do mnie nabliżcie, to jak was gwiznę starszym końcem to wam się tu zareńko rozświeci. Widzisz go, przysiężny, — siadaj pijaku bo cię odjadę — siadasz maszli, bo cię tu wilcy zjedzą! No siadasz czy nie?!

Zmiękł Koczwara, gdy ujrzał rezon Wojtka i rzecze:

— Oj mój Wojtusiu, bo mi bardzeńko Jacka żal!

A Wojtek:

— To już przepadło! i mnie go żal, bo co miał duszę przed śmiercią słowem Bożem zasilić, to ją zalał przebrzydłym arakiem — już się nie wróci, a my jedźmy szwagier bo ograżkę dostanę tak mi zimno.

— A z wójtem co będzie, to go tu zostawimy? — zapytał Koczwara.

— On popłynie do Gdańska po korale dla baby — odpowiedział Wojtek.

— Oj ty zdrajco, tobie jeno figle w głowie! — rzecze Koczwara.

— Ehę figle, co się trzęsę jak ryba od zimna i głodu — a wy siadacie czy nie? To już na nic, Jacek już na sądzie Boskim stoi! — mówi na to Wojtek.

— Oj kiedym bardzeńko słaby — zamruczał Koezwara — mało ze mnie duszy nie wydrze, to mię chyba podsadź — oj Jacku, Jacku!

Wojtek Koczwarę na wóz wsadził i ruszył przez piasek ku górce. Szedł koło koni, a przez lasy śmigał, że jeno wóz turkotał; spiewał „kto się w opiekę“ a jak sobie przypomniał Jacka, to truchlał na tę nagłą śmierć.

Wraz ze dniem przyjechał do wsi, Koczwarę zsadził przed karczmą, a sam pojechał ku wójtowstwu i oznajmił o tem przytrafunku. Wójtowa i syn z wielkim lamentem udali się do Ulanowa, brodzili tam z ludźmi po wodzie, jeździli na czółnach i szukali osękami, ale Jacka już nie znaleźli. Z wodami zaniesło go do Sanu, a Sanem zniesło go ze 2 mile, bo dopiero na trzeci dzień znaleźli go flisy pod Jaśkowicami w Sanie. Pochowali go w Pysznicy, a ludzi dość było z Domostawy na pogrzebie, i wszyscy Boga błagali żeby Jackowi odpuścił, i żeby wszystkich od nagłej śmierci zachował. Zaś wójtowa także wkrótce po mężu umarła ze zgryzoty.

II.

Młody Błach Szwed w rok i 6 niedziel po śmierci matki ożenił się z córką jednej wyrobnicy na Studzieńcu. Wziął żonę do Domostawy na swoją ojcowiznę i przez parę lat szło im gospodarstwo jakoś po Bogu, dopóki Błach był prostym chłopem; ale jak się jeno wychrapał na podwójciego, tak już po trochu napijał i wstępywał w ślady swego ojca. Za gromadzkiemi interesami łaził po całych dniach, a do chałupy nigdy przed północkiem nie przychodził, to też gospodarstwo marniało z każdym dniem coraz więcej, bo jakże nie miało marnieć, jeśli Błach nic nie przysporzył, owszem marnił i do tego żonie zdrowie odbierał? Ile to łez biedna żona wylała, ile do nóg Błachowi napadała i prosiła, żeby też wziął Boga do serca, żeby przestał hultaić — ale nic nie pomogło. Jak był trzeźwy to mało co i gadał jeno wzdychał, a jak się upił, to mu dopiero przychodził rozum do głowy, wtedy rezonował, wymyślał na wszystkich co jeno wlazło, kłócił się i bił co napotkał, to też od niego wszyscy stronili jak nieprzymierzając od wściekłego psa. Już u nikogo nie miał oka, wszyscy na nim psy wieszali i przeklinali go jak i jego ojca przeklęli, Błach coraz gorzej napijał i tak zbiedniał, że choć to po ojcu taki wielki został

majątek, a on nawet nie miał się w czem do kościoła pokazać, to go też musieli i z urzędu zrzucić, bo robił wstyd na całą gromadę.

Jak mu ten honor odebrali, tak już zeszedł prawie na dziada, nie chodził on już do Domostawskiej karczmy, ale włóczył się po obcych karczmach i mało się już do domu pokazywał. Żona ze zmartwienia dostała żółtaczkę, a do tego w ten sam czas dziecko najstarsze umarło. Błach ledwie się przywlókł na pogrzeb zbiedowany, zapuchnięty, oczy popodbijane, że go ciężko było poznać — okrutnie lamentował za dzieckiem i został przecież w domu, a biedna żona jak mogła tak go ogarnęła i aż jej zdrowia przybywało, że męża choć pijaka, już w domu widziała.

Błach się jakoś poprawił, wszystko już było inaczej koło domu — jednego tylko w jego sercu brakowało. Oto brakowało mocnego postanowienia więcej do grzechu nie wracać i obrzydzenia sobie grzechu dla miłości Boga

Jednego razu jak rozmawiali o swojej niedoli odezwał się Błach do żony:

— Wiesz ty Kasiu! my teraz okrutnie podupadli, w domu nie ma na sól, a ja i fajki już z tydzień nie kurzył, strasznie mi się cnie, otbym czasem i kieliszek wypił a nie ma za co — jabym myślał co zarobić żeby ot żydom towary przenosić albo konie przeprowadzać na tamtą stronę?

A żona na to:

— Błasiu kochanku! Tobie jeno lekki chleb pachnie, na tem się nikt nie dorobił, jeszcze ci tego trza żebyś się ze złodziejami wdał? a niech Bóg broni! Kto kradzione konie przeprowadza, to jest tak jak i złodziej — idź lepiej z siekierą do belków nad wodę albo do sągów, to zarobisz, a ja tu z dziećmi będę biedować bez ciebie, ale tego ukropu to już nie kosztuj, bo ty nie masz miary ani w gębie ani w głowie.

Błach się strasznie sumitował, w domu się nie mógł ostać, zawsze gdzieś wybiegał za interesami. Jednego wieczora zapiekł fajkę i idzie.

— Gdzież ty idziesz Błasiu? — zapytała żona.

— Ot wyjdę na chwilkę do kuma Koczwary, zaraz przyjdę — odpowie.

— Przyjdź, przyjdź Błasiu! — prosiła żona.

Tak ci moja, tak! nie prędko go ty zobaczysz. Poszedł w las na umówione miejsce, wziął tum parę koni żeby ich do Janowa odprowadzić, zaledwie może ćwierć mili za słupy przyjechał, aż tu wypada trzech moskiewskich żandarmów i biorą go jak swego. Zaprowadzili go do Janowa przed naczelnika, naczelnik kazał konie sprzedać i pieniędzy złożyć w urzędzie a Błacha wpakowali do aresztu i siedział 12 niedziel, aż przyszło pisanie z Galicyi, że jako te konie ukradzione we dworze w Pysznicy. Błach co prawda tych koni nie ukradł, ale że nie złapali złodzieja tylko jego, to on też musiał za to pokutować — osądzili go na dwa roki i odesłali do Lublina do kryminału.

Otże nię jest to oczywista kara Boża?

Zaś co dalej się stało, opowiemy wam w przyszłym numerku.

RÓŻNOŚCI.

Pożar. We czwartek dnia 9 czerwca nawiedziło nas tu we Lwowie straszne nieszczęście. We dwie godziny z południa poczęła się palić wielka kamienica, niedaleko rynku — a że gorąco było na dworze i dachy były suchuteńkie, więc zaraz ogień przerzucił się na inne kamienice, i ani się ludzie spojrzeli, aż tu już siedm kamienic ogromnych się pali! Okrutny to był ogień i strach niemały we Lwowie. Nazwożono zaraz sikawek moc i ratowano co było można — ale dopiero za trzy godziny ugaszono ogień. Ale co najstraszniejsza, to to, że wielu ludzi postradało życie przy tym ogniu. Z jednej kamienicy urwały się żelazne poręcze z dachu, ta poraniły i potłukły ratujących na dole ludzi. Jaki taki co lał wodę na dachu, spadł i zabił się na miejscu. Jeszcze wam teraz nie mogę opisać tak dokumentnie, ile ludzi marnie poginęło, ale w przyszłym numerze „Dzwonka" opiszę wam dobrze całe to okrutne nieczczęście.

Xiądz Baka. Już 100 lat dobrze górą jak żył w Polsce xiądz Baka z zakonu OO. Jezuitów. Był to pobożny kapłan, który cały prawie

majątek po ojcu przeznaczył na chwałę Bożą, bo na wybudowanie kościółka, przy którym w późnym wieku umarł. Ale z czego osobliwie znany był xiądz Baka w całej Polsce, to z swoich wierszyków, co były tak ucieszne a tak nauczne zarazem, że poczciwy człowiek i serdecznie się naśmiać i zbudować się mógł przy ich czytaniu. Na próbkę tych wierszyków xiędza Baki kazaliśmy w „Dzwonku“ wydrukować jeden, w którym xiądz Baka napomina grzeszników i opojów, aby pamiętali o śmierci, bo ani się nie spodzieją, kiedy ich chwyci za uszy. Oto ten wierszyk:

Grzeszniku — bez liku!
Śmierć matula — jako dula,
Już na nosie — dbaj o się!
Grzeszniku nadęty
Przeklęty! —
Stul ogona — by zbawiona
Była dusza — ciała tusza
Od szlagi — i plagi
Smiertelnej — piekielnej!
Smierć babula — jak cebula,
Łzy wyciska — gdy przyciska.
Smierć macocha, kto grzech kocha,
Z kosy stali — wałkiem wali
Z miłości — aż kości
Wyłażą — z urazą.
Smierć matula — nas przytula,
Głaszcze wabi — nim zadłabi!
Smierć matula — usta stula,
W gardle kością — stawa ością
Nic i tobie — nie da w grobie,
Na jej łonie — spoczniesz sobie.
Ubogo — i z trwogą,
Po polach — na molach.
Gdy śmierć zmoże — nie pomoże
Broda ruda — ani duda
Ani tłum — kotłów bum
Trąb rara — gdy zagra!
Maki, fraszki — oraz flaszki
Ni muzyki — ni żarciki,
Za karty — tam harty,
Za tuzy — tam guzy!
Ty łyk łyku — smokczesz byku,
A śmierć w szyku — na przesmyku
Już stawa — przygrawa!
Ty hul huli — do gębuli,
Aż śmierć stuli — czas już luli
W napoju — opoju!
Bo śmierć ciągiem — kosy drągiem
Sięga pana — i Iwana
W łeb wali — obali
Nim zgubi — naczubi.
Smierć ślepucha — koło ucha
Smiało chodzi, wszystkich zwodzi.

Piękna xiążka. Wydrukowano teraz w Krakowie śliczną xiążkę dla was kochani ludkowie. Nazywa się ta xiążka tak: „Gorzałka jako źródło wszystkich zbrodni w obec Boga i ludzi.“ Napisał zaś to wszystko jeden xiądz pobożny co się zwie Felix Gondek. Jest w tej xiążeczce dużo zbawiennych rad i nauk do przeczytania i bardzo wam radzę, aby komu stać na to, kupił sobie tę xiążeczkę. Nie wiele ona kosztuje, tylko 40 krajcarków, a zapisać ją można w xiegarni pana Wilda we Lwowie, albo u samego pisarza „Dzwonka.“

Odpowiedzialny redaktor i wydawca: **E. Winiarz.** Z drukarni E. Winiarza.